

MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

Leona Grabowskiego

w Krakowie, Plac Maryacki L. 9
róg Rynku głównego

pełna bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek
strojnych i angielskich, Łoa strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

59

Było jednak już zapóźno. Obląkana zniknęła. Przeszukano całą avenue i wszystkie sąsiednie ulice, zawiadomiono natychmiast prefekturę, a tymczasem dorożkarz wiozący Ludwikę jechał spokojnie przez Pola Elizejskie. W dziesięć minut potem młoda panna wysiadła przed dworcem, a dorożkarz mówił do tragarza:

— Niech ją pan zaprowadzi do kasy... Nie umie ani słowa po francusku...

— A dokąd jedzie?

— Do Biarritz.

— Gdzie ma bagaże?

— Pewnie u portyera.

— Dobrze!... Ona ma jakąś dziwną minę!

— Cóż dziwnego! Gdy się jest pierwszy raz w jakim miejscu... Gdy nie można nic powiedzieć ani zrozumieć... Trudno mieć wtedy mądrą minę...

— Rzeczywiście!

Ludwika uśmiechnęła się bezmyślnie. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co robi. Zupełnie automatycznie, nie myśląc nawet o tem, poszukała pieniędzy, by zapłacić dorożkę, z której wysiadła. Wyjęła z kieszeni jednego ludora, których kilka wsunęła w domu do sukni i podała dorożkarzowi.

Taksometr wskazywał franka sześćdziesiąt pięć.

— Dobry kurs... — szepnął do siebie dorożkarz. I oddał pasażerze trzysta franków trzydziści pięć centymów, biorąc sobie pięć franków na piwo. Widząc, że cudzoziemka nie protestuje, ukłonił się jej nisko i pośpiesznie odjechał.

— Tędy — rzekł tragarz, dając znak pasażerze by za nim poszła.

Zaprowadził ją do kasy.

— Która klasa? — zapytał. — Trzecia?... Druga?..

Ludwika kiwnęła nieświadomie głową.

Nachylił się do okienka i rzekł do kasyera:

— Druga Biarritz...

— Sześćdziesiąt franków piętnaście centymów.

— Do diabła! — mruknął tragarz — jak ja jej to teraz powiem?... Nie rozumie ani słowa po francusku.

I powtarzał jej na wszelki sposób:

— Sześćdziesiąt franków piętnaście centymów.

Ludwika wyjęła kilka ludorów i położyła je przed okienkiem. Kasyer odliczył należność i resztę jej odsunął. Obląkana, naśladując gesty tragarza, zebrała pieniądze i schowała je do kieszeni.

— Ludzie inteligentni — wyrzekł tonem sentencyonalnym jej przewodnik — zawsze mogą się porozumieć... A pani bagaże? Ma pani na nie kwit?

Tym jednak razem najwyrazistsza jego mimika nie wywołała żadnego skutku.

— Gdyby ta pani miała bagaże — myślał tragarz — kręciłaby się po dworcu i niepokoiła, by bez nich nie pojechać... Puste ręce znaczą, że niema żadnego bagażu... Bardzo dobrze!... A teraz proszę tędy!...

I zaprowadził Ludwikę na peron, z którego odjeżdżają pociągi.

— Oto — tłumaczył — express odchodzący o ósmej minut dwadzieścia siedem. Może pani wsiąść zaraz...

— Tak... zaraz... — powtórzyła Ludwika.

— Ależ pani mówi trochę — zdziwił się tragarz. — Powinna mnie więc pani rozumieć... To jest pociąg, który odchodzi zaraz... Jest także drugi o dziesiątej minut dwadzieścia pięć... Tym pierwszym nie dojedzie pani prędzej, niż drugim... Ale przynajmniej nie będzie się pani tu nudziła przez dwie godziny...

Ludwika starała się zrozumieć, co jej mówiono. Marszczyła brwi i wydawała się niespokojną.

Tragarz zdecydował jednak za nią.

— Niech pani siądzie do tego wagonu... Będzie tu pani dobrze...

Podsadził ją i młoda panna dostała się szczęśliwie do damskiego przedziału.

Tragarz nie wychodził mimo to jeszcze, lecz stał przed nią z wyciągniętą ręką:

— Napiwek... — rzekł. — *Tip... Tringeld... Buona mancia...*

Ludwika domyśliła się tym razem, o co chodzi. Umysł jej na chwilę stał się jaśniejszym. Wzięła rękę do kieszeni, wyjęła z niej pieniądze, jakie dostała z reszty od dorożkarza i oddała je swemu przewodnikowi. Tragarz ukłonił się jej głęboko.

— Czy prędko będę w Biarritz?

Pytanie to zdumiało go.

— Sapriski! Pani doskonale mówi, gdy chce... W Biarritz? Będzie tam pani jutro około pół do dwunastej w południe...

— Piotr tam już jest...

Władze jej umysłu znowu się zaciemniały. Obląkana mówiła teraz do siebie. Po chwili straciła zupełnie świadomość siebie. Ludwika była obecnie już tylko automatem, wykonyującym pewne zwykłe ruchy, lecz nie zdolnym do wypowiedzenia całego zdania. Tragarz popatrzył na nią w niepewności, potem ukłonił się po raz wtóry i opuścił wagon.

Wkrótce pociąg ruszył i młoda panna, ukołysana miarowym stukiem kół, zasnęła. Spała przez całą noc. Rano obudziła się w Bordeaux i zapytała, czy to już Biarritz. Potrafiła także kupić sobie kilka ciastek, które chłopiec z restauracji kolejowej obnosił po wagonach. Zjadła je i znowu wpadła w głębok sen. Tak przespalała i Biarritz.

Obudziła się dopiero, gdy pociąg stanął w Hendaye i gdy wszyscy zaczęli wychodzić. Instynktownie poszła za innymi pasażerami i tyle miała przytomności, iż oddała bilet, którego od niej żądano. Czyniła to machinalnie, naśladując innych.

Gdy jednak towarzysze jej podróży rozeszli się w różne strony, zatrzymała się w niepewności, nie wiedząc, co z sobą zrobić.

XV.

Maksym Duret, gdy zobaczył, że Joe Smith walczy z policyatem, pośpieszył na dworzec i znikł w tłumie. Dobrze wyliczył czas, przybył na kilka chwil przed odjazdem expressu. Kupił bilet i siadł natychmiast do pociągu. Teraz zaczęła się dla niego najcięższa męka. Musiał w spokoju oczekiwać gwizdka naczelnika stacji i odgwizdnięcia parowozu. Siedzi jego spoglądał na niego ukradkiem, zdziwieni jego błażością i lekkim drżeniem, od którego nie mógł się powstrzymać. Zdawało mu się, że wszyscy muszą słyszeć bicie jego serca, tak było ono silne.

Czas upływał dla niego nieskończenie wolno. Bał się ustawicznie, iż Jankes zdoła wszystko wytłumaczyć, zostanie puszczone z przeprosinami i puści się w pogoń za swym więźniem. Wyobrażał sobie, że ślad jego już odnaleziony i stary cowboy pędzi na swych długich nogach i wskakuje do pociągu. Postać jego ukazuje się lada chwila u drzwi wagonu.

Wreszcie rozległ się gwizd i pociąg drgnął. Maksym Duret stłumił w sobie oddech... Jeszcze chwila i zostanie ocalony. Pociąg przyspieszył biegu. Wyjechał już z okopconego poddasza dworca.

Teraz dopiero prezes odetchnął. Twarz jego zarumieniała się trochę. Obezwładniający lęk ustąpił miejsca rozkoszemu uczuciu ulgi. Jeszcze nigdy nie czuł się tak szczęśliwy. Ucieczka jego udała się zupełnie. Opanowały go jednak zaraz niewesołe myśli.

— Umknąłem im — mówił do siebie. — Jestem w drodze na wygnanie... Paryż znikł już z horyzontu... Może już nigdy go nie zobaczę... Zostaw-

łem tam stanowisko, dzięki któremu mogłem żyć... Mam z sobą sumę stosunkowo małą... Co się ze mną stanie?...

Palcami dotykał się małej flaszeczki, ukrytej w kieszonce kamizelki, którą rano, wychodząc z domu, zabrał z sobą.

— Na to zawsze będzie czas — pomyślał.

Buteleczka ta zawierała bardzo silną truciznę. Gdy interesa jego zaczęły przybierać niepomyślny obrót, wystarał się o nią na wypadek, gdyby musiał umrzeć z honorem. Prezes nie chciał się jednak zabijać — nie dlatego, by się bał śmierci, gdyż był odważny, lecz, by uniknąć pośmiertnych plotek, duma jego bowiem była większą od jego odwagi. Gdyby skandal stał się nieuniknionym, wtedy z dwojga złego wybrałby mniejsze i dobrowolną śmiercią zamknąłby choć w części usta swym nieprzyjaciółom.

— Jeszcze nic nie wiadomo! — pocieszał się. — Jestem silny i w pełnym posiadaniu swych władz umysłowych... Może w nowym kraju, na przykład w Brazylii, uda mi się zdobyć sobie stanowisko, zebrać majątek...

Prezesowi przyszła jednak teraz na myśl jego siostrzenica.

— Jeżeli powiedzie mi się w Ameryce, znajdę sposób, by ją uwolnić i wtedy przyjedzie do mnie... Jeżeli szczęście nie będzie mi dopisywało, wtedy przytknę ten flakonik do ust i wszystko się skończy... Umrę przynajmniej w dali od Fraucyi i nikt nie o mnie nie będzie wiedział...

Bilet kupił sobie do Lizbony, gdzie miał przejsięć się na okręt, który zawiozłby go do Południowej Ameryki.

Kilku jego towarzyszy podróży jechało w tym samym kierunku. Poznać ich było łatwo po ciemnej cerze, jasnych krawatach i mnogości biżuterii. Między tymi nieuniknionymi Brazylijczykami, Argentyńczykami, Chilijczykami i Peruwianami, których można spotkać we wszystkich luksusowych pociągach między Paryżem i Portugalią, jechał także jakiś dyplomata francuski wysłany do Tangeru, pułkownik angielski z żoną, udający się do Gibraltaru, dwie Niemki, których mężowie mieli domy handlowe w Oporto, negr i dwóch gentlemanów wątpliwej narodowości. Wszyscy ci pasażerowie mieli wyniosłe i zimne miny, jakie wypada mieć w luksusowym pociągu. Pod tym względem odznaczał się zwłaszcza negr, który był łodowaty i majestatyczny. Duma gentlemanów o wątpliwej narodowości polegała na udawaniu przesadnego znużenia, jakby na głowach ich spoczywała równowaga mocarstw europejskich lub też trust całej Ameryki.

Wkrótce w wagonie nastąpił pewien ruch. Pasażerowie wstawali i wychodzili z wagonu salowego. Szli na śniadanie do wagonu restauracyjnego. Inni zaś powracali już po posiłku i drzemali na pół leżąc, lub też czytali dzienniki. Maksym Duret uznał, iż powinien pokrzepić swe siły. Chociaż nie miał apetytu, pozbył się odrętwienia, które go przykuwało do fotelu i ruszył do stołu.

Gdy powrócił na swe miejsce, zmrużył oczy. Trzy ostatnie noce spędził prawie bezsennie. Pierwsza zajęta była wianiem się do jego willi, dwie ostatnie przebył w ubraniu na łóżku w towarzystwie Lewisa Jacksona. Męczyły go przykre sny... Był jednak tak zmęczony, iż nie obudził się nawet przy zatrzymywaniu się pociągu i otworzył oczy dopiero w Bordeaux. Obiad jadł późno, bardzo powoli, przedłużając go umyślnie; bał się zostać sam w przedziale, w którym jedno posłanie było dla niego zarezerwowane. Pił czarną kawę, gdy pociąg zatrzymał się w Dax. Gdy ruszano w dalszą drogę, Maksym Duret usłyszał łoskot jakiegoś wielkiego samochodu. Łoskot ten zbliżał się, rósł nadzwyczaj szybko i wkrótce rozległ się przed dworcem. Express jednak przyspieszał już biegu. Prezes wstał wkrótce od stołu.